

Autor: **Weronika Żołędziowska**

Klasa: II b gimnazjum

Rok szkolny: 2015/16

Nazwa szkoły: Gimnazjum nr 3 przy ZSO w Kętrzynie

Imię i nazwisko opiekuna: pani Bożena Wójcik-Wasilewska

„Pan X”

Mogę powiedzieć o sobie dużo różnych rzeczy. Ludzie też, choć nie interesuje mnie to, jak mnie nazywają i jak między sobą ubarwiają moje życie. Większość z nich myśli, że handluję narkotykami. Mniejszość, że zadaję się z dilerami. Obracałam się wśród nich krótko, a małe miasteczko wręcz pęka od plotek. Moim celem było odzyskanie chłopaka. Udało się.

Przetrząsam zawartość szuflady w poszukiwaniu kluczyków od auta. Jestem pewna, że gdzieś je tutaj rzuciłam, gdy zeszłej nocy wróciłam z pracy. Dorabiam w barze kanapkowym jako kelnerka. Nienawidzę tej roboty z całego serca. Dojeżdżam przed siódmą. Ustawiam wszystkie krzesła, uzupełniam zapas lodu. Przecieram blaty i stoły, by były gotowe na przyjęcie klientów. Dopiero wtedy odsłaniam żaluzje, wpuszczając do lokalu trochę światła. Na szybko przecieram szyby. Zwykle ignoruję kurz, który zalega na lampach, ale tym razem pokonuję swój upór. Gdy kończę, na łeb-na szyję biegnę na zaplecze, uderzając biodrem o blat. Zawsze zapominam, że tam stoi. Przebieram się w służbowy uniform, który psuje mi humor każdego ranka. Obcisłe spodnie w czarno-białe paski, żółta bluzka z logo baru, a do tego moja ukochana biała czapka z daszkiem, przez który słabo widzę swoich klientów.

Nie musiałabym marnować tutaj jednej trzeciej swojego życia, gdyby nie rodzice, którzy postawili mi ultimatum. W chwili, gdy dowiedzieli się, że mój chłopak miał styczność z narkotykami, wyszli z założenia, że ja również. Postanowili dać mi lekcję życia. Do dzisiaj, gdy mijam ich na ulicy, słyszę ich słowa owego pamiętnego dnia, gdy próbowałam im wytłumaczyć, że Adam nie jest złym człowiekiem:

- Albo zawiadamy policję, albo wyprowadzasz się, nie przepuszczasz pieniędzy na to świństwo i sama zarabiasz na swoje utrzymanie. Może docenisz kieszonkowe, które od nas dostawałaś.

A skoro poświęciłam tak wiele, by wydostać Adama z tego całego bagna, nie zamierzałam tak sobie odpuścić. Następnego ranka spakowałam walizki. Przez pierwsze kilka dni mieszkałam w pensjonacie. Dziękowałam Bogu, że jako nastolatka postanowiłam oszczędzać kieszonkowe na "czarną godzinę", zamiast jak to rodzice się wyrazili "przepuszczać je na to świństwo". Potem wyszłam na swoje. Znalazłam pracę (pomijam fakt, że beznadziejną), wynajęłam mieszkanie. Część wypłaty odkładałam na przyszłość, a reszta wystarcza mi na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Adam pomaga mi zarówno finansowo jak i moralnie, choć wciąż mam opory do pożyczania pieniędzy. Bywają chwile, gdy moja minimalna stawka nie wystarcza, a mieszkanie na ulicy nie brzmi zbyt obiecująco. Mimo wszystko, dzięki uporowi wreszcie wyprowadziłam się od rodziców i zaczęłam wieść spokojne życie. Śmiało mogę powiedzieć, że zasłużyłam.

Jednak w takich chwilach jak ta, gdy jestem spóźniona na spotkanie, a kluczyki złośliwie przenoszą się z miejsca na miejsce (znalazłam je pod łóżkiem), zaczynam tęsknić za zatłoczonym szkolnym autobusem.

Wyjeżdżając spod bloku zerkam na zegarek, by przekonać się, czy wykorzystałam już przysłowiowe piętnaście minut spóźnienia. Na szczęście pozostało mi jeszcze pięć, więc wycofuję z parkingu, o mało nie przejeżdżając psa, i wciskam pedał gazu. Nie zatrzymuję się na pasach, by przepuścić starszą panią, pędzę, byle tylko zdążyć. Do moich uszu dociera dźwięk policyjnej syreny. Super.

Przeprawa z policjantem zajęła mi dobre pół godziny, poszukiwania miejsca do zaparkowania dodatkowe dziesięć minut, więc gdy docieram do niewielkiej kawiarenki w centrum miasta, przed drzwiami od razu zauważam wysoką postać w idealnie skrojonej garsonce.

- Zaczęłam wątpić czy w ogóle przyjedziesz – zauważa kobieta. - Zwykle nie spóźniasz się aż tak.

- Po prostu wejdźmy do środka, okej? - odgarniam włosy z twarzy i otwieram drzwi, przeklinając się w duchu, że nie włączyłam w samochodzie klimatyzacji.

Wnętrze lokalu jest przytulne – drewniane stoły i krzesła, ściany w kolorze kawy z mlekiem. To moje ulubione miejsce odkąd skończyłam dziesięć lat. Jest przyjemnie chłodne i, co najważniejsze, tanie. Zamawiamy po herbacie z cytryną.

- Opowiadaj jak ci mija dzień – Ewa opiera brodę na dłoniach i przygląda mi się z zainteresowaniem.

- Wspaniale – mówię zgryźliwie, machając jej przed nosem mandatem. - Jakbym nie miała na co wydawać pieniędzy.

- Nie trzeba było tak lecieć – kopie mnie pod stołem. Nie stanowi dla niej różnicy to, że ma na stopach dziesięciocentymetrowe szpilki.

- Auć!

Pochyliam się, by rozmasować obolałą kostkę, lecz zapominam o blacie stołu, który toruje mi drogę. Uderzam z impetem brodą w kant, rozlewając przy tym nieco herbatę. Ten dzień nie może być gorszy.

- Masz dzisiaj pecha, kochana – zauważa Ewa, podając mi chusteczkę. - Może poproszę kelnera o woreczek z lodem?

Kiwam głową, trzymając się za obolałą szczękę. Miejsce uderzenia zaczyna pulsować i puchnąć.

- Masz, przyłóż - mówi, podając mi coś zimnego. Póki nie czuję zapachu różanych perfum, nie dociera do mnie, że mam zamknięte oczy.

- Dziękuję.

- Nie pracujesz dziś? - pyta Ewa, sącząc herbatę z granatowego kubka.

- Za taką kasę powinnam pracować dwa dni w tygodniu, nie pięć. W soboty moją zmianę przejmuje Marta. Jedyny dzień, kiedy... - urywam, bo mój telefon zaczyna wibrować. - Chwila.

Wyciągam komórkę z kieszeni, a gdy na ekranie wyświetla się służbowy numer mojego szefa, odrzucam połączenie.

- Nie dość, że zaharowuję się w tygodniu, to nie mogę spędzić w miarę spokojnego sobotniego popołudnia.

Ewa już ma mi odpowiedzieć, kiedy telefon ponownie się odzywa.

- Zaraz trafi mnie szlag.

- Odbierz, może to rzeczywiście coś ważnego? - sugeruje.

Wzdycham, bo jak zwykle ma racje. Zachowuję się jak kapryśna nastolatka.

- Za chwilę wracam.

Wychodzę na świeże powietrze i wciskam zieloną słuchawkę.

- Słucham?

- Marta skrzyła kostkę, nie może przyjmować zamówień. Zastąpisz ją.

Śmieję się pod nosem.

- A więc teraz mam pracować za dwie osoby, tak?

- Nie bądź niedojrzała. Musisz przyjechać.

- Magiczne słowo?

Słyszę westchnienie po drugiej stronie linii.

- Oboje wiemy, że potrzebujesz tej pracy bardziej niż ona ciebie.

Rzuciłabym parę niecenzuralnych słów, ale ma rację. Potrzebuję kasy.

- Zaraz będę.

Wracam do stolika. Szybko i chaotycznie tłumaczę Ewie, że muszę jechać, inaczej mnie wywałą. Rozumie to, więc wypadam z kawiarni i kieruję się do samochodu. Gdy wyjeżdżam na ulicę, telefon dzwoni ponownie. Kładę go na siedzeniu pasażera i włączam głośnomówiący.

- Cześć – mówię.

- Ala – wita się pogodnym głosem Adam.

- Przepraszam, że będę straszną jędzą, ale potrzebujesz czegoś? Prowadzę, a wyrwałam już dzisiaj mandat.

- Wszystko w porządku?

- Jasne, ale mów co tam. Jakoś dziwnie brzmisz. Coś się stało?

Wydaje mi się, że też gdzieś jedzie, ale nie dam sobie ręki uciąć. Możliwe że to tylko wiatr.

- Chcę ci tylko podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Na chwilę zatyka mnie. Zdecydowanie nie byłam przygotowana na takie wyznanie. Jestem kiepska w okazywaniu uczuć, co sprawia, że nie wiem jak się zachować, gdy ktoś płacze, wręcza mi prezent albo... dziękuje.

- Ale... za co? - nie łąpię.

- Za to, że nie posłałaś mnie do diabła, gdy dowiedziałaś się w jakim środowisku się obracałem. Poświęciłaś dla mnie wszystko. Rodzice wyrzucili cię z domu. Przepraszam, nie powinienem był na to pozwolić. Przez mnie twoje życie nie wygląda tak, jak powinno.

Odzyskuję rezon, przygotowując się na pokonanie własnych barier. Mocniej ściskam kierownicę.

- Adam, niczego nie żałuję. Gdybym miała możliwość powtórzenia tych paru lat, postąpiłabym tak samo jak wtedy. Nie ma znaczenia jak wygląda moje życie. Najważniejsze, że cię nie straciłam.

- Jesteś dla mnie najważniejsza. Kocham cię.

Łzy lecą mi po policzkach. Ocieram oczy rękawem, by móc skupić się na drodze.

- Ja ciebie też.

Nagle przede mną wyrasta ciąg samochodów. Byłam zbyt rozproszona, by je zauważyć. W ostatniej chwili hamuję gwałtownie.

- Co jest – wzdycham zirytowana. Naciskam klakson parę razy, ale odpowiadają mi tylko wulgarne gesty z kilku samochodów. Postanawiam wysiąść i sprawdzić, dlaczego stoimy.

Na początku myślę, że zamknęli szlaban i kolejne dwadzieścia minut spędzimy gapiąc się w pociąg, jednak myślę się. Niedaleko zdarzył się wypadek. Zamykam samochód i podchodzę bliżej. Nim udaje mi się przebrnąć przed tłumek gapiów, słyszę, co szepczą.

- Zderzenie czołowe.

- Żyje?

- Niemożliwe, pewnie go zmiądzżyło.

Docieram na przód całego zbiorowiska. Stłuczka musiała być naprawdę ostra, bo jeden z samochodów wylądował w rowie. Drugi zniknął. Podśluchałam rozmowę ratowników. Kierowca tego ostatniego uciekł. Co z uszkodzonym? Nie wiadomo, czy przeżyje.

Naraz przypominam sobie, że rozmawiałam z Adamem. Wyjmuję telefon z

zamiarem oddzwonienia, ale numer nie odpowiada. Nadal jestem zdruzgotana tym, co zobaczyłam, jak duże może być ludzkie cierpienie.

Wszystko składa się w logiczną całość, gdy ratownikom udaje się wydostać z samochodu ciało poszkodowanego. Mężczyzny. Ma ciemne włosy. Zielone oczy. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Zawsze wszystko planuje i to jest urocze. Nie poddaje się i walczy o to, co kocha. Śpi przy otwartym oknie. Dopiero, kiedy wymieniam te wszystkie fakty na głos, dociera do mnie, że to Adam. Najprawdopodobniej nieżywy.

- Co się dzieje z tą kobietą?! - krzyczy jeden z ratowników, który trzyma otwarte drzwi karetki.

Ja tymczasem upadłam na kolana. Chowam twarz w dłoniach, bo cały mój świat zawalił się w jednej chwili. Niekontrolowany szloch wydobywa się z mojej piersi i nie mogę przestać płakać, nie wiadomo jak bym chciała. Podchodzi do mnie dwóch policjantów i pomagają mi wstać.

- Zna pani tego mężczyznę? - pyta jeden, a za jego plecami karetka wiezie mojego ukochanego do szpitala.

- Ja... muszę tam jechać. Muszę przy nim być, proszę mnie puścić!

- Niech się pani uspokoi, jest pani zbyt roztrzęsiona, by prowadzić. Zawieziemy tam panią.

Oddaję kluczyki do auta i proszę tego drugiego, żeby odstawił samochód pod biuro Ewy. Dociera do mnie, że traktuję go jak lokaja, ale trudno. Teraz moim priorytetem jest dotarcie do szpitala.

Gdy siedzę w poczekalni, parę osób proponuje mi chusteczki. Trwam tam do wieczora, a moja głowa pełna jest najczarniejszych scenariuszy. Gdyby Adam nie żył, nie wieźliby go tutaj. Czyli jednak żyje... Ale nic nie wiadomo... Muszę go zobaczyć. Próbuję wejść na salę, ale pracownicy szpitala nie pozwalają mi. Mówią tylko, że jest w stanie krytycznym – jakbym sama o tym nie wiedziała.

Podchodzi do mnie jedna z pielęgniarek.

- Pani Alicjo?

- Tak? - zrywam się jak oparzona, mając nadzieję, że wreszcie pozwolą mi wejść do sali.

- Przykro mi, ale dzisiaj już nie uda się pani odwiedzić męża.

Nie mam nawet siły, żeby jej tłumaczyć, że nie jesteśmy małżeństwem. Pozwalam jej mówić dalej.

- Został zabrany na salę operacyjną. Walczy o życie – kontynuuje, gdy ja kiwam głową jak nakrecony królik chcąc tylko, by doszła do sedna. - Nie chcę pani niepotrzebnie martwić, nie udzielono mi szczegółowych informacji. Z powrotem opadam na twarde plastikowe krzesło. - Lepiej, jeśli pójdzie pani do domu, wyśpi się.

- Nie chcę spać - odpowiadam jak małe dziecko. - I tak nie zasnę. Poczekam tutaj.

Kobieta kręci głową z dezaprobatą.

- Dziecko, nie myśl, że to są puste słowa. Dwadzieścia lat temu mój mąż umarł na zawał. Czekałam w poczekalni tak, jak ty teraz, a oczy kleiły mi się ze zmęczenia. To, że siedziałam tu kompletnie nieprzytomna, wcale mu nie pomogło. Nie nadwyreżaj swojego zdrowia.

- Dziękuję, naprawdę, ale wolałabym zostać tutaj, niż tkwić w pustym mieszkaniu. Przynajmniej ktoś tu jest.

- Rozumiem. Chodź, możesz się zdrzemnąć w którymś gabinecie. O tej porze na pewno znajdzie się jakiś wolny.

Moje serce pęka z wdzięczności dla tej kobiety. Prowadzi mnie do pomieszczenia, które znajduje się przy szatni. Jest małe, znajduje się w nim biurko, waga i kozetka.

- Prześpij się - mówi.

Sen nie chce przyjść. Ciągle mam przed oczami widok zmasakrowanego samochodu i zakrwawionego Adama. Pieczenie pod powiekami sugeruje mi, że powinnam skupić się na czymś innym, więc wstaję i liczę długopisy w pojemniku na biurku. Zасыpiam z głową na blacie.

Kiedy się budzę, do gabinetu przez rolety wpadają promienie słońca. Zegar na ścianie wskazuje szóstą rano. Przespałam jak kamień całą noc. Nie mam ochoty sprawdzać w lustrze jak wyglądam. Nie zamierzam się dobijać. Przeciagam się wiedząc, że ten dzień nie będzie lżejszy od poprzedniego i będzie ode mnie wymagał sporo energii. Biorę kilka głębokich wdechów i wychodzę na korytarz. Spotykam się ze spojrzeniami ciekawskich pacjentów, ale omijam ich obojętnie. Idę do szpitalnej stołówki, kupuję kawę. Niosąc dwa plastikowe kubki, dochodzę do recepcji, gdzie urzęduje znana mi pielęgniarka.

- Dzień dobry - podaję jej kubek kawy.

Nie protestuje, widzę, że jest zmęczona.

- Dziękuję, dziecko.

- Była tu pani całą noc?

- Mam na imię Eliza. Męczy mnie to "per pani".

- Dobrze, więc, czy spędziłaś noc w pracy?

- Takie życie. Miałam drugą zmianę.

- Nie nadwyrężaj swojego zdrowia.

- Touché - śmieje się, biorąc łyk kawy.

Bawię się guzikiem od bluzy, zdradzając zdenerwowanie.

- Elizo, nie wiesz co z Adamem?

- Jeśli popilnujesz chwilę biznesu, to spróbuję się dowiedzieć - mrugnęła do mnie i ruszyła w stronę drzwi do sali.

Dwie godziny później mogę wreszcie wejść do sali. Lekarz ostrzega mnie, bym nie robiła sobie nadziei, bo Adam wciąż jest nieprzytomny. Ledwo powstrzymując się od biegu, podchodzę do łóżka.

- Zostaną mu blizny - informuje mnie lekarz - ale nie będą bardzo widoczne.

- Nie obchodzą mnie blizny - mówię cicho, nie dając popłynąć łzom. - Czy wszystko z nim będzie w porządku? - pytam, nie odrywając wzroku od pozszywanej twarzy.

- Jest jeszcze za wcześnie, by wybiegać w przyszłość. Możemy tylko czekać.

Nastaje cisza, w której kurczowo ściskam dłoń ukochanego.

- Proszę pani...

- Tak? - podnoszę głowę.

- Pani mąż stracił nogę - mówi cicho lekarz.

Ze zdziwienia otwieram usta, bo, oczywiście, nie zauważyłam tego.

Jednak moją uwagę zwraca coś innego, bo właśnie w tej chwili Adam ściska moją dłoń.

- Ala - udaje mu się wychrypieć.

Lekarz wychodzi, wołając kogoś.

- Mój Boże - szepczę i już nie powstrzymuję łez. Przyciskam głowę do jego piersi, ciesząc się, że to serce bije. Szlocham, a Adam gładzi mnie po głowie.

- Proszę pani - słyszę znajomy głos.

Odwracam się. W progu stoi policjant, nerwowo pocierając ręką kark.

- Muszę porozmawiać z pani mężem.

Ludzie, czy naprawdę nikt nie zainteresował się tym, że mamy różne nazwiska i, no nie wiem... brakiem obrączek?

Nie poprawiam go jednak.

- Dopiero się obudził, nie możecie wymagać od niego za wiele!

- Proszę, niech pani nie krzyczy, to nasz...

- Alu, wszystko dobrze - uspokaja mnie Adam.

- Boli cię coś? Na pewno mogę cię zostawić?

- Jest w porządku - kłamie. Wiem, że kłamie. Nie może nie boleć.

Zastanawiam się chwilę, a potem kiwam głową i wychodzę. W drzwiach mijam się z lekarzem.

Wychodzą dopiero po godzinie. Domyślam się, że Adam musi być wyczerpany, więc nawet nie proszę, by wpuścili mnie do środka. Grzecznie siedzę na moim stałym miejscu pod drzwiami. Jestem zdziwiona, gdy jedna z pielęgniarek, skończywszy zmieniać opatrunki, wychyla się z pomieszczenia i prosi, bym weszła.

- Chce z panią porozmawiać.

Zostawia nas samych.

- Co się dzieje? Powinieneś odpocząć - mówię cicho, siadając przy jego łóżku. Oddycha ciężko, każde wypowiedane słowo musi sprawiać mu ból.

- Muszę ci coś powiedzieć. Jestem za słaby, by cokolwiek zdziałać. Chcę, żebyś przekazała policji, kto spowodował wypadek.

Zrywam się na równe nogi.

- Wiesz kto to był?!

- Mogę się domyślić. Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy, powiedziałem ci, że nie możesz wyplątać mnie z tego bagna całkowicie. Przeszłość wraca po latach.

- Sugerujesz... To byli oni? Ci sami?

Kiwa głową, potwierdzając moje obawy. Od wielu lat męczyła mnie myśl, że mogą zechcieć zemsty. Zapłaty. Nie sądziłam, iż w taki sposób.

- Nie chcę, żeby to przytrafiło się też tobie. Powiedz o wszystkim policji, nawet, jeśli miałbym mieć przez to kłopoty. Bądź ostrożna, dobrze?

Zgadzam się cicho. Następnego dnia idę na policję w towarzystwie Ewy. Mówię im o wszystkim oprócz tego, że Adam kiedyś był wśród nich.

- Przedstawiła nam pani bardzo ciekawą historię, ale jest w niej za mało faktów – oto odpowiedź, którą otrzymuję.

- Co znaczy: za mało faktów? Wszystko co powiedziałam jest prawdą! - denerwuję się.

- Nie podważam pani pamięci, bynajmniej. Lecz nie damy rady nic z tym zrobić. Potrzebujemy nazwisk.

Beznamiętny ton policjanta sprawia, że mam ochotę mu przyłożyć. Nie wykazuje najmniejszego zainteresowania sytuacją, w której znalazłam się ja i Adam.

- Czy jest pani w stanie podać nam choć jedno? - pyta mnie z błyskiem satysfakcji w oczach, który doprowadza mnie do szału.

Mówię "nie" i wylewam mu gorącą kawę na nowiuśkie spodnie. Wychodzę z trzaśnięciem drzwiami.

- Miałaś tylko z nimi porozmawiać, nie wszczynać rewolucji! - wykrzykuje zdumiona Ewa, gdy opowiadam jej co zrobiłam.

- Żadnej empatii, rozumiesz? Cieszył się z mojej bezradności! Uh!

- Jesteś chyba najmniej bezradną osobą, jaką znam – śmieje się. - TY możesz wszystko. Pamiętasz jak zawsze dowodziłaś akcją wykradania ciasteczek z najwyższej szafki w kuchni? Dopóki twoja mama mnie nie adoptowała, nigdy nie miałam wzoru, który mogłabym naśladować. Wytropienie przestępcy jest jak poszukiwanie ciasteczek.

- Wiesz, to jednak nie do końca to samo. Poza tym, jak miałabym znaleźć tych ludzi? Minęło pięć lat. Ślady się zatarły, oni wszyscy pewnie porozeżdżali.

- Zastanów się. A... co z twoją pracą?

Wzruszam ramionami.

- Pewnie i tak już mnie wywalili.

Mijają dni. Codziennie odwiedzam Adama w szpitalu i sprawdzam jak się czuje. Dał mi kluczyki do swojej kawalerki, więc przyniosłam mu parę czystych rzeczy, coś do czytania, przenośne radio, żeby się nie nudził. Zapowiadało się dobrze, ale po tygodniu czy dwóch, obudził mnie telefon.

Otwieram zaspane oczy, jest środek nocy. Z początku myślę, że to Ewa. Umówiliśmy się, że poinformuje mnie, gdy będzie coś wiadomo odnośnie jej wniosku o adopcję. Od dawna wie, że chce dać jakiemuś dziecku prawdziwy dom i rodzinne ciepło. Jej mąż podziela jej zdanie, więc gdy widzę na ekranie obcy numer, czuję się nieswojo.

- Pani Alicja? - odzywa się męski głos.

- Tak – wychrypuję. - Kto mówi?

- Doktor Goździewski. Przepraszam, że panią budzę, ale dzwonię w sprawie...

- Adam? Co z nim? - gwałtownie siadam, przez co zaczyna kręcić mi się w głowie.

- Przykro mi to mówić, ale... jest w śpiączce.

Świat wiruje, ale przynajmniej wiem dlaczego.

- Przepraszam, może pan powtórzyć?

Wzdycha.

- Przykro mi. Może pani go odwiedzić.

Chwilę zajmuje mi uświadomienie sobie, co to znaczy.

- Nie, nie teraz. Mam kilka spraw do załatwienia. Tylko... gdyby obudził się, a mnie nie było obok, proszę mu przekazać, że wszystko w porządku – mówię i rozłączam się.

Z jego perspektywy musi to wyglądać potwornie dziwnie. Jednak mam gorsze zmartwienia.

Idę do łazienki, przepłukuję twarz lodowatą wodą. Przebieram się. Wychodzę. Ulice o tej porze są puste, normalni ludzie śpią. Wiem jednak, że ten, kogo szukam jest na nogach. Zapuszczam się w mniej ciekawą okolicę, gdzie kilka razy ktoś próbuje mnie zaczepić. Z kamienną twarzą idę dalej, aż trafiam pod jeden z bardziej zruinowanych bloków. Biegnę po dwa schodki, aż docieram na ostatnie piętro. Bez pukania naciskam klamkę. Uchylam białe, obdarte z farby drzwi. Ich właściciel nigdy ich nie zamyka. Niezbyt mądrze, ale przynajmniej jest mi to na rękę. Odór piwa, który spowija mieszkanie sprawia, że zbiera mi się na wymioty. Nogą odgarniam puste pudełka po jedzeniu na wynos, puszki i niedopałki.

- Kto tu jest? - słyszę wołanie z salonu.

Ostrożnie wchodzę do pomieszczenia. Jest ciemne, jedynie telewizor rzuca niebieskawe światło na postać leżącą na kanapie.

- Otworzyłyś tu czasem okno, wiesz? Dziwne, że się jeszcze nie udusiłeś w tym smrodzie – mówię zgryźliwie. Śmiesz mi szok w oczach mężczyzny.

- Alicja?

- Kopę lat, Piotrek.

- Co tu robisz? Raczej nie przysłaś w odwiedziny, co? - zauważa, a swoją wypowiedź zwieńcza beknieniem.

- Usiądź jak człowiek. Ja też umiem bekać, ale się tym nie chwale. Przyszłam, bo potrzebuję paru informacji – przyznaję.

- Robi się ciekawie. Zaczęli dawać o sobie znać, co?

Zachowuję kamienną twarz.

- Przyjaźniłeś się z Adamem. Wiesz kim są ci ludzie. Przychodzili tu. Powiedz mi.

- Informacje kosztują, moja droga – wybucha głośnym śmiechem.

- Zamknij się i słuchaj. Albo mi powiesz co wiesz, albo policja dowie się o wszystkim.

Rechocze.

- Teraz ty posłuchaj, ślicznotko. Adam był tam ze mną. Jeśli ty wkopiesz mnie, ja wkopię jego.

Zaciskam zęby na wzmiankę o Adamie.

- Adam nie żyje – kłamię. - A ty nadal w tym tkwisz. On miał kogoś, kto pomógł mu z tym skończyć, ty nie. Wykaż chociaż tyle przyzwoitości. Chciałby, żeby ci, którzy narobili mu tyle problemów wreszcie trafili do więzienia. Nie chcesz mieć go na sumieniu.

- Nie żyje? - przelyka ślinę. Od zawsze był tchórzem. Domyśla się, że to oni stoją za domniemaną śmiercią Adama, więc nie chce być pociągnięty do odpowiedzialności. Co za samolubność... - Dobra, ale tylko dlatego, że się kumpłowaliśmy – mówi, po czym wstaje.

Z dna szafy wyjmuję duże tekturowe pudełko. Przez chwilę w nim grzebie, aż znajduje okropnie pogniecioną kartkę. Wręcza mi ją, po czym ponownie rzuca się na kanapę. Przez krótką chwilę studiuję zawijasy, które widnieją na papierze.

- To mapa. Gdyby wiedzieli, że ją narysowałem, już by się mnie pozbyli. Tam się spotykalą. Powodzenia – rzuca na odchodnym.

Dziękuję mu jak cywilizowany człowiek i wychodzę z mieszkania. Siadam na betonowych, brudnych schodkach. Słyszę kroki, więc chowam prowizoryczną mapę za pasek. Mija mnie mężczyzna, który pozostawia po sobie znajomą woń wędzonego mięsa. Instynkt każe mi iść za nim, więc podnoszę się i wyjmuję kartkę. Jestem oddalona od niego o co najmniej dziesięć metrów, więc kilka razy zdarza mi się stracić go z oczu. Orientuję się jednak, że mężczyzna ma odblaski na butach, podążam więc za dwoma srebrnymi liniami. Co chwila zerkam na mapę. Tajemnicza postać (nazwijmy go panem X) idzie dokładnie tą samą trasą, którą wyznaczył Piotrek. Zaczynam podejrzewać podstęp, lecz nie mam nic do stracenia. Nie mam pewności, czy Adam obudzi się, a jeśli tak, muszę doprowadzić do złapania przestępców. Nawet jeżeli miałyby to dla niego oznaczać przyszłość beze mnie.

X skręca. Tak, jak na mapie. Potem zaczyna biec. Odwracam się i widzę zbliżającą się muskularną postać. Żołądek skręca mi się ze strachu. W chwili, gdy wskazuję w krzaki, X zatrzymuje się i wrzeszczy do tego drugiego:

- Czego chcesz?!

- Wyluzuj, to tylko ja. Jesteś strachliwy jak baba.

- Przymknij się.

Zbieram się na odwagę i lekko wychylam głowę zza zarośli. Znajdujemy się w pobliżu opuszczonego magazynu. To takie przewidywalne. Wytężam słuch.

- Nie rozumiesz, baranie? Ktoś nas szuka – mówi X. Najwyraźniej to on odgrywa rolę tego mądrego, a jego towarzysz to sama masa mięśniowa. - A właściwie ciebie. Czy nie przyszło ci do głowy, żeby zakryć twarz, kiedy jechałeś wykończyć tego palanta? Masz szczęście, że byłem na miejscu i odwróciłem od ciebie podejrzenia.

- Niby jak?

Westchnięcie.

- Pogadamy na miejscu. Reszta już czeka.

Dźwięk oddalających się kroków uspokaja mnie. Wychodzę z ukrycia. Nie ma sensu iść za nimi, skoro jest ich więcej. Gdy adrenalina ustępuje, czuję jak ogarnia mnie zmęczenie. Bocznymi ścieżkami wracam do domu.

Następnego dnia zapraszam do siebie Ewę i razem analizujemy wszystkiego, czego się dowiedziałam.

- To może wyglądać jak zabawa, ale proszę cię: bądź ostrożna – ostrzega mnie.

- Dobrze wiem o co gram. Tylko nie wiem jak wygrać.

- Ładne porównanie. A co z Adamem?

- Byłam u niego rano. Nie wiem jakim cudem, ale zostawił mi list. Jakby czuł, że może mu się pogorszyć.

Odczytuję jej to, co powtarzałam sobie przez cały ranek, tak na wszelki wypadek, by nie zapomnieć.

Alu,

jeżeli będziesz szukać tylko tutaj, nic nie znajdziesz. Czasami wrogowie okazują się przyjaciółmi.

- Dziwne – podsumowuje Ewa.

- To nie wszystko. Na odwrocie jest jakiś adres. I dzisiejsza data.

Moja siostra przez chwilę analizuje to, co jej przekazałam, a potem zrywa się z podłogi i ciągnie mnie za sobą.

- Nie ma chwili do stracenia! Łapiesz następny pociąg. Wsiadasz na ostatniej stacji i idziesz pod ten adres. Szybko, bo będzie za późno!

- Zwariowałaś?! - podnoszę głos, gdy pakuje moją torebkę i wypycha mnie za drzwi.

- Na razie leć na pociąg. Zadzwoń do mnie, kiedy już zajedziesz na miejsce.

Oprócz mnie w przedziale siedzą jeszcze trzy osoby. O tej porze nie ma tłumów, więc to jest jedyny plus tej karkołomnej wyprawy. Wyjmuję komórkę i dzwonię do Ewy.

- Tłumacz mi, bo za nic nie rozumiem twojego toku myślenia. Co było takiego w tej kartce, że wysłałaś mnie do innego miasta?

- Kochana Alu, pomyśl dobrze. Adam chce, żebyś spotkała się tam z kimś. To logiczne.

Milczę.

- Ewa... Dlaczego nie posłałaś na kryminologię, detektywistykę czy coś w tym rodzaju?

- Wybaczę ci twoje roztargnienie... Jesteś blondynką – żartuje.

- Hej, nie zaczynaj.

Dojeżdżam wreszcie na miejsce i kieruję się na wskazaną ulicę. Pod tym adresem znajduje się restauracja. Już wiem skąd Ewa kojarzy to miejsce. Spotkała się tu pierwszy raz ze swoim aktualnym mężem. Siadam przy jednym ze stolików na zewnątrz. Nie wiem co robić, więc po prostu czekam na jakąś wskazówkę, czy coś w tym stylu.

- Podać coś? - pyta kelner, który w międzyczasie pojawia się obok mnie.

Zapowiada się na to, że spędzę tu sporo czasu, więc proszę o herbatę z cytryną i kawałek ciasta. Niedługo potem otrzymuję swoje zamówienie i zajadam się szarlotką. Przez cały ten czas obserwuję wszystkich ludzi, którzy wchodzą i wychodzą z restauracji. Gdy zaczyna zmierzchać, dochodzę do wniosku, że Ewa musiała się pomylić. Kelner przynosi mi rachunek. Otwieram bordową książeczkę jeszcze zanim odchodzi. Ze środka wypada karteczka. Podnoszę ją z chodnika i czytam: "Najmniej prawdopodobne miejsce". To musi być on. Z nim miałam się spotkać. Widzę, że odchodzi, więc biegnę za nim.

- Czasami... wrogowie okazują się przyjaciółmi? - mówię cicho, żeby tylko on mógł mnie usłyszeć.

Widzę cień uśmiechu na jego twarzy.

- Dokładnie tak – odpowiada i wraca do środka.

Przez całą podróż powrotną nie mogę zapomnieć o tych wszystkich zagadkach, wskazówkach i szczerze mówiąc, powoli zaczynam mieć dosyć. Mam jednak wrażenie, że jeżeli ja się poddam, to Adam również. Brnę więc jeszcze bardziej w ten bałagan, mając nadzieję, że zdołam oddzielić przeszłość od przyszłości i na odwrót.

Wieczorem, gdy wreszcie ląduję w ciepłym łóżku, po uszy przykrywam się kołdrą i ignoruję komórkę, która co chwila wibruje na stoliku nocnym. Teraz moim celem jest długi, zdrowy sen.

"Najmniej prawdopodobne miejsce". Te słowa wciąż mnie prześladują, nawet gdy śpię. Nic dziwnego, że budzę się o piątej rano. Wtem doznaję olśnienia.

Oni wszyscy muszą mieć jakieś miejsce, gdzie trzymają towar. Miejsce, którego nikt nigdy nie podejrzewałby. Najmniej prawdopodobne. Posterunek policji.

Jak oparzona wsiadam do samochodu, jeszcze w piżamie, i jadę dobrze znaną mi trasą. Wchodzę do niebieskiego, dużego budynku. Bez pukania, z rozmachem otwieram drzwi do gabinetu, z którego ostatnio wyszłam tak wzburzona.

- To pan! - celuję palcem w komendanta. - To pan handluje narkotykami!

Dopiero wtedy zauważam, że w pomieszczeniu są jeszcze dwie osoby. Mężczyzna siedzący w skórzanym fotelu nie wydaje się być zdziwiony moją obecnością. Prostuje się i kładzie ręce na lśniącym blacie biurka. Jest zbyt spokojny.

- Panowie, aresztować ją – mówi stanowczo, patrząc mi w oczy.

- Wypraszam sobie! - krzyczę, próbując się wyrwać dwóm policjantom. - Jakim prawem?!

- Jest pani podejrzana o handel narkotykami.

Wytrzeszczam oczy. Tego się nie spodziewałam. Nie mam pojęcia skąd wyciągnęli takie wnioski, nie wiem też jak przekonać ich, że jestem niewinna. Jedyna osoba, która mogłaby być moim świadkiem, aktualnie leży w śpiączce.

- Słucham? - jestem tak zszokowana, że zapominam o miotaniu się na wszystkie strony. - Na jakiej podstawie?!

- To już powie pani sędzia.

- Przepraszam, ale chyba mam prawo do złożenia zeznań!

- Oczywiście, choć nie wiem czy to pani coś da.

Właśnie dowiedziałam się, że handluję narkotykami. Dowiedziałam się, że jestem przestępczynią. Zamykają mnie w tym mitycznym pomieszczeniu z samym sedesem i strasznie twardym łóżkiem. Wiem tylko, że niedługo będę składać zeznania. Normalny człowiek opracowywałby w tym momencie stos argumentów, dzięki którym uznanoby go za niewinnego, ale ja nie potrafię. Myślę tylko o tym, że wylądowałam w więzieniu i jeżeli stwierdzą moją winę, plan odnalezienia prawdziwych sprawców spełnie na niczym. Myślę o Ewie, która niedługo dowie się, że jej siostra została aresztowana. Myślę o Adamie, którego mogę już nigdy nie zobaczyć. W takim stanie nie umiem się bronić. Moja niewinność wydaje mi się tak oczywista, że mam wrażenie, iż nie muszę niczego udowadniać. Poza tym, nie mam bladego pojęcia skąd wzięli tak poważne zarzuty. Nigdy nie brałam narkotyków, nigdy nimi nie handlowałam. To wszystko co mogę powiedzieć na ten temat.

Nie orientuję się ile czasu minęło. Po godzinie, może po dwóch, metalowe, ciężkie drzwi otwierają się i zostaję wyprowadzona na korytarz. Dwóch policjantów prowadzi mnie do pokoju zeznań, gdzie siadam na jednym z krzeseł, które znam jedynie z seriali detektywistycznych. Sam komendant sadowi się naprzeciw mnie i przygląda mi się z zainteresowaniem. Spodziewam się, że zaraz wyciągnie z kieszeni tę słynną, jaskrawą latarkę, która bije po oczach tak mocno, że podejrzani od razu się do wszystkiego przyznają. Nic takiego jednak się nie dzieje. Siedzimy w ciszy, aż zaczynam się niecierpliwić.

- Czy może mi pan łaskawie wyjaśnić, dlaczego mnie tu zamknięto?

Stuka palcami o blat stołu.

- W pani samochodzie znaleziono narkotyki – od razu przechodzi do sedna.

- To nie jest możliwe.

- Ciekawe. Więc dlaczego dopuszczała pani do myśli, że funkcjonariusz policji mógłby za tym stać?

- Nie był pan skory do pomocy, gdy chciałam odszukać przestępcę.

- Coś jeszcze?

- Tylko jedno. Proszę mi uwierzyć. Ja tego nie zrobiłam – mówię już opanowana. - Nie wiem jakim cudem narkotyki znalazły się w moim samochodzie.

Kiwa głową. Wracam do celi. To by było na tyle, jeśli chodzi o moją niewinność.

Data rozprawy została wyznaczona na przyszły piątek. Przez cały ten czas jestem pod nadzorem. Codziennie przeszukują moją celę tak, jakby w magiczny sposób pod ich nieobecność miały się tam pojawić narkotyki. Mam prawo do jednego telefonu, więc dzwonię do Ewy i roztrzęsiona mówię jej o wszystkim. Dowiaduję się, że Adam nadal jest nieprzytomny. Nie mam kontaktu ze światem i całym dniami martwię się o jego zdrowie. Boję się, że któregoś dnia dostanę telefon ze złymi wiadomościami.

Gdy prowadzą mnie do sali sądowej, znajduję jeden plus: przynajmniej wyszłam na świeże powietrze. Proces wygląda jak każdy inny: wstajemy, gdy wchodzi sędzia, następnie przedstawia dowody, świadka. Za mną stoi trzech policjantów. Proces dobiega końca, zanosi się na to, że stwierdzą moją winę. Przychodzi moja kolej. Dostaję prawo głosu. Mówię tylko, iż jestem niewinna, bo akurat w tak ważnym momencie nie przychodzi mi do głowy nic sensownego. I tak mi nie uwierzą. Siadam, a sędzia mówi coś jeszcze do któregoś z mężczyzn obok. Nagle słyszę jakiś szmer z tyłu sali i odwracam się na krześle. Prawie mdleję, gdy wreszcie znajduję wybawienie. Wszystkie odłamki tej układanki wreszcie są na swoim miejscu. Rozpoznaję świadka. Rozpoznaję prawdziwego winowajcę.

- Wysoki sędzie – odzywam się, a mój głos niesie się echem po sali. - Czy mogę podejść do funkcjonariusza?

Mężczyzna patrzy na mnie badawczym wzrokiem, po czym wyraża zgodę. Zbliżam się do policjanta, który stoi bezpośrednio za mną, jest ode mnie wyższy, więc

nachylałam się i biorę głęboki wdech. Niemal wymiotuję na wspomnienie tego zapachu. Ostatni raz czułam tą woń kilka chwil po tym, jak wyszłam od Piotrka.

- Wysoki sędzio, wiem kto przewodzi grupie, handlującej narkotykami. Wiem, kto jest sprawcą wypadku – mój głos brzmi pewnie, bo jestem już pewna swoich racji i nie dam się posadzić.

- Słuchamy. Proszę mówić.

- Zacznę od tego, że w liceum związałam się z pewnym chłopakiem, który miał problemy z narkotykami. Nie sprzedawał ich, ale był uzależniony. Oszczędzę całej historii, bo nie ma ona większego znaczenia. Grunt, że udało mi się go wyciągnąć ze złego środowiska. Ja sama nigdy nie brałam tego świństwa. Minęło pięć lat. Nadal jesteśmy razem, ale jakiś czas temu zdarzył się wypadek, o którym państwo wiecie. Poszkodowanym jest właśnie on. Trafił do szpitala, a przed tym, jak zapadł w śpiączkę powiedział mi, że domyśla się, kto spowodował wypadek. Już na początku naszej znajomości powtarzał mi, iż z tego "bagna" nigdy nie wychodzi się w całości. Wniosek był prosty – sprawcami są dilerzy, z którymi zadawał się lata temu. Gdy dowiedziałam się o wypadku, podsłuchałam rozmowę dwóch funkcjonariuszy. Jednym z nich jest pan, stojący za mną. Powiedział, że winowajca uciekł z miejsca wypadku i zmienił temat. Oddalił podejrzenia.

- Proszę pani, ta historia do niczego nie prowadzi.

- Niech wysoki sąd wysłucha mnie do końca. Postanowiłam wziąć sprawy we własne ręce. Od przyjaciela poszkodowanego zdobyłam informacje o miejscu, gdzie najczęściej spotykają się podejrzeni. Gdy wychodziłam z jego domu, minął mnie mężczyzna zaskakująco podobny do funkcjonariusza za mną. Kiedy mijiał mnie, poczułam zapach wędzonego mięsa. Poszłam za nim, śledziłam go, aż nie dołączył do niego mężczyzna, który siedzi teraz na miejscu świadka. Ukryłam się za zaroślami i podsłuchałam ich rozmowę, z której jasno wynikało, że jeden z nich o muskularnej budowie ciała siedział za kierownicą, za to drugi – znany nam funkcjonariusz, oddalał od niego podejrzenia za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na zły tor. Niedawno okazało się, że mój ukochany zostawił mi list, w którym polecił mi spotkać się z jednym takim. Otrzymałam wskazówkę, by szukać w najmniej prawdopodobnym miejscu. Chodziło oczywiście o miejsce, w którym przebywa szef całej szajki. O miejsce, gdzie znajduje się ich cały towar. Posterunek policji. Wysoki sędzio, wszyscy wiemy co się stało dalej. Wpadłam do biura komendanta, oskarżając go o to wszystko. Trafiłam w dobre miejsce, tylko do złego funkcjonariusza. Więc gdy przed sekundą, poczułam znajomy zapach wędzonego mięsa i potwierdziłam swoje przeczucie, zrozumiałam wszystko.

- Wysoki sędzio – odzywa się funkcjonariusz, którego dopiero co oskarżyłam. Mięśniak-świadek błędnie – to nie wyjaśnia obecności narkotyków w samochodzie

tej kobiety. Cała historia jest wyszana z palca.

- Czy mogę? - pytam.

Sędzia kiwa głową. Najwyraźniej jest ciekawy dalszego ciągu tej historii.

- Otóż gdy dowiedziałam się o wypadku, wpadłam w histerię. Dwóch policjantów, którzy rozmawiali wcześniej o sprawcy zaoferowali się, że odwiozą mnie do szpitala, w którym przebywa poszkodowany. Poprosiłam wtedy pana... - czytam z plakietki imię policjanta – Marka, by odstawił moje auto pod biuro mojej siostry. Miał wtedy idealną okazję do zrzucenia podejrzeń na mnie, poprzez, co jest wiadome, podrzucenie narkotyków do samochodu.

- Czy to prawda? - pyta sędzia.

Obaj mężczyźni – funkcjonariusz i świadek rzucają się do ucieczki. Pan X szarpie za klamkę z tak dramatyczną miną, że chce mi się śmiać. Każdy głupi wie, że drzwi są zastawione od zewnątrz. To śmieszne, bo ta dwójka jeszcze nie tak dawno była aż za bardzo pewna siebie. Teraz wyglądają jak para bezbronych owiec, otoczona przez stado wilków. Rozpoczyna się szamotanina, gdy kilku policjantów próbuje obezwładnić przestępców. Ktoś wyprowadza mnie tylnym wyjściem na korytarz. Dopiero po chwili odwracam się i widzę przed sobą sędziego.

- Ich reakcja potwierdza przedstawione zarzuty. Zostanie pani uniewinniona. Myślę, że w zaistniałych okolicznościach... Może pani wrócić do domu.

Wzdycham z ulgą. Wychodzę na świeże, poranne powietrze i kieruję się do szpitala.

Gdy wchodzę do sali, w której leży Adam, czuję się nieco rozczarowana. Nie obudził się. Siadam obok niego, na łóżku, lekarz bez słowa wychodzi z pomieszczenia. Jak mała dziewczynka, przytulam się do Adama, chcąc, by w końcu do mnie wrócił. Po policzkach spływają mi łzy. Jedna po drugiej, aż w końcu nie ograniczam się, tylko łkam na całe gardło. Nie reaguję, gdy jakaś ręka ściera łzy z moich policzków. Reaguję na głos.

- Nie utop mnie – śmieje się cicho.

- Wszystko będzie w porządku, już zawsze, znalazłam ich – wyrzucam z siebie, po czym wołam lekarza. Obudził się.

- Wiedziałem, że dasz radę. Jesteś dla mnie najważniejsza.